

Teksty Drugie 1995, 1 , s. 99-108



„Przyjemnie posłuchać”

Jacek Kopciński

nicznej (zwłaszcza wobec Wschodu), dość pokrętny stosunek do Kościoła i PSL (gdą pojawiły się pierwsze konflikty w rządzącej koalicji). Sądzę jednak, że pokazane przede mną zmagania Toeplitza o uznanie członków PRL-owskiego establishmentu za pełnoprawnych uczestników życia publicznego są głównym tematem analizowanych felietonów i one właśnie decydują o całościowym obrazie „Kuchni polskiej”. Uważam też, że jak na pismo o wysokich aspiracjach, a takie „Polityka” niewątpliwie posiada, poziom prezentowanej przez KTT retoryki nie jest szczególnie wysoki i wyraźnie się różni z wymaganiami publiczności, do której redakcyjni koledzy Toeplitza kierują swój tygodnik. Zbyt wiele jest w niej odbłasków propagandy komunistycznej (dotyczy to zwłaszcza typowego dla niej zawłaszczania pojęć i zamazywania ich sensów) oraz schlebienia typowo populistycznym instynktom (wykorzystywanie uprzedzeń do polityki, prawicy, elit).³

Grzegorz Wołowicz

„Przyjemnie posłuchać”

1. Zwiedziony czytelniczą rutyną, lekturę najnowszej książki Włodzimierza Boleckiego *Prawdy niemiłe* rozpocząłem od autorskich wyjaśnień pomieszczonych na końcu tomu. Już wkrótce z trwogą zauważyłem, że *Słowo od autora* ma silne działanie hipnotyczne. Otóż — pod wpływem odczytywanych zdań — książka Boleckiego¹ zaczęła ulegać tajemniczym przemianom, znikać i pojawiać się w zupełnie nowym kształcie: „Początki tej książki sięgają końca lat siedemdziesiątych, kiedy to zacząłem przygotowywać tom rozpraw krytycznoliterackich pt. *Tematy krytyczne* — mówił do mnie autor — Marzyło mi się wówczas wydanie książki tak hybrydycznej i wielotematycznej, jak wielokształtna jest sama krytyka literacka (...). Z tamtej książki, poza spisem treści, pozostał mi do dziś tytułowy esej, do którego być może jeszcze kiedyś powrócę. Niestety moje nadzieje na wydanie tak skomplikowanej książki stopniowo rozwiewali kolejni wydawcy”. Zadrzałem. Czy teksty, o których wspomina Bolecki, w ogóle powsta-

³ Tuż po powstaniu powyższego tekstu KTT przeniósł swój felieton do kierowanego przez siebie tygodnika „Wiadomości Kulturalne”. Czy będzie on stanowił odpowiednie tło dla „Kuchni polskiej”? Zobaczymy.

¹ W. Bolecki *Prawdy niemiłe*, Warszawa 1993, Przedświt.

ły? Dlaczego szkic *Tematy krytyczne* nie znalazł się w zbiorze, który, jak sugeruje przecież autor, stanowi realizację dawnego projektu? Projektu pisarskiego czy wydawniczego? Bolecki słusznie zauważa, że państwowi wydawcy najwyżej cenili takie książki krytycznoliterackie, których „w ogóle nie było”, ale przecież poza jednym szkicem i spisem treści tej książki nie było naprawdę!

Mimo to autor przedstawiał dalsze dzieje nie wydanego tomu. „W końcu lat osiemdziesiątych wróciłem ponownie do pomysłu książki krytycznoliterackiej, ale już wówczas z wielu tekstów zrezygnowałem (złożyłyby się na osobną książkę), a dopisałem nowe.” A więc jakież teksty były, chociaż znowu zostały odrzucone, tym razem przez autora. Tworzyły kolejną niewidzialną książkę o zmienionym tytule, której ostateczne wcielenie trzymałem w rękach (coraz bardziej drżących). Jednak nie! Nowe szkice, o zgrozo, zgubił prywatny już teraz wydawca. Na szczęście zachowała się kopia maszynopisu, która powróciła do szuflady, by nigdy nie trafić do drukarni.

„Po paru latach znów wycofałem kilka tekstów, ponownie dodałem nowe i jeszcze raz zmieniłem tytuł” — pisze dalej Bolecki. W stanie głębokiego poruszenia zacząłem sumować dane: najpierw była „książka, która się nie ukazała”, następnie teksty, które „złożyłyby się na osobną książkę”, ale pozostały rozproszone, w końcu „druga wersja książki” nie wydanej, ale uzupełnionej nowymi szkicami — razem trzy tomy krytycznoliterackie.

Tom czwarty leżał teraz na moim biurku, ale to był już zupełnie inny tom, ponieważ „z marzenia o książce wielogatunkowej pozostały tylko eseje, a z projektu książki wielotematycznej, powstała książka tematycznie spójna”. Nim zdążyłem ochłonąć, kolejna przemiana: „Jednak komponując *Prawdy niemile* starałem się, by każdy ze składających się na tę książkę esejów był «gatunkowo» inny. Są w niej więc tak różne odmiany tego gatunku, jak esej biograficzny, esej poświęcony jednemu utworowi, esej–polemika, czy wreszcie esej–przypowieść (choć sam nie jestem pewien tego określenia)”. Ja nie byłem pewien już niczego, choć domyślałem się, że autor zebrał w swoim tomie szkice, omówienia, recenzje...

Dlatego, jak błogosławieństwo przyjąłem wyznanie, że „ambicją wszystkich poprzednich szkiców (wyłączając esej–przypowieść — J. K.) było przebywanie jak najbliższej konkretnych tekstów, a zatem sztuka czytania i rozumienia — dwie czynności, które w krytyce pociągały mnie najbardziej”. Mnie też, więc z cichą ufnością kończy-

lem *Słowo od autora*, dowiadując się jeszcze, że przedmiotem tego „spójnego tematycznie” zbioru, będą różnorodne prawdy niemile, które obok (innych — J. K.) „tematów, wątków, motywów i pytań (...) tworzą wyraźną, choć rzecz jasna — prawem zbioru — puentylistyczną całość problemową”.

Na koniec jeszcze jedna zagadka. Otóż autor tomu oczekiwał, „że w różnicach pomiędzy bohaterami poszczególnych esejów Czytelnik odnajdzie rozległe obszary problemów, którymi od dziesięcioleci żyje literatura polska”. Zastanawiając się, jak „w różnicach” pomiędzy bohaterami mogą rozciągać się „obszary problemów”, doszedłem do wniosku, że w gruncie rzeczy najważniejszym bohaterem książki Boleckiego jest ów Czytelnik, pisany z szacunkiem wielką literą, ale w nocy końcowej z perfidią zahipnotyzowany, czyli wciągnięty przez autora w przebiegłą grę tekstową... Bolecki przez lata szukał swojej magicznej książki, ja postanowiłem sprawdzić jej działanie, pytając o autorski projekt odbiorcy idealnego. Do tego celu wybrałem dwa eseje *Ta pochodnia płonąca...* (tekst z roku 1978, ogłoszony w 1980) i *Prawdy niemile* (wersja ostateczna z roku 1993).

2. Najpierw jednak krótkie wyjaśnienie. Otóż czytelnik konkretny esejów Boleckiego miał szansę zapoznać się z nimi już wcześniej (jedyne nowe teksty w książce to *Słowo od autora*). Szkic *Sadźmy różę* poświęcony opowiadaniom Władysława Terleckiego ukazał się w roku 1978, esej *Ta pochodnia płonąca...* w 1980, artykuł *Wolne głosy* o prozie Schuberta pochodzi z roku 1982, *Okno*, recenzja *Klasycyzmu* Ryszarda Przybylskiego, została ogłoszona w 1984, szkic biograficzny o Niemcewiczu *Podnieść zginiony naród, nie mała to praca...* w 1990, tekst tytułowy *Prawdy niemile*, poświęcony Gombrowiczowi i Mackiewiczowi, w roku 1992. Najdłuższy esej pomieszczony w nowym tomie Boleckiego i zatytułowany *Jaki ładny nieboszczyk...* (*O Wacławie Berencie*) stanowi kompilację czterech mniejszych rozpraw i artykułów publikowanych w latach 1983–1992. Już wstępne zestawienie wybranych przez Boleckiego szkiców pozwala zauważyć, że należą one do dwóch różnych epok politycznych i reprezentują dwa porządki problemowe. Mówiąc krótko, *Prawdy niemile* są dokumentem przelomu, jaki projektował niegdyś Andrzej Kijowski na Kongresie Kultury Niezależnej w 1981 roku:

Ani syndrom artystowski, ani syndrom insurekcyjny, lecz reformatorski model literatury

Zygmuntowskiej i Stanisławowskiej czeka dziś na spełnienie w literaturze współczesnej, która powinna znaleźć w sobie siłę Modrzewskiego i Konarskiego, Reja i Kitowicza, aby poddać krytyce nie tylko sposób rządzenia Polakami, lecz sposób życia i myślenia Polaków.

Niestety po 13 grudnia reformę polskiej mentalności trzeba było na kilka lat odłożyć, by znów zająć się wolnością. Pytania o „tożsamość duchową społeczeństwa polskiego, o jego stosunek do przeszłości i terażniejszości, o zdolności i siły twórcze” (*Jaki ładny nieboszczyk...*) ze wzmocnioną siłą powróciły w roku 1989. Przełom ten, jak wiadomo, oznaczał także zmianę warunków społecznej komunikacji: zniszczenie cenzury, rozszerzenie pola dyskusji, przełamanie opozycyjnych tabu, konfrontację „reformatorskich” programów. Zmiana ta w sposób istotny musiała wpłynąć na styl uprawianej także przez Boleckiego krytyki. Czy rzeczywiście tak się stało?

Czytelnik idealny *Tej pochodni płonącej...* nie potrzebował czytać *Państwa* Platona, by w początkowych akapitach szkicu rozpoznać mechanizm aluzji uruchomiony przez autora. Musiał jedynie wiedzieć, że Platon chciał ze swego państwa wypędzić wszystkich poetów, uznając ich za większych szkodników, niż dotychczas piętnowani przez lokalną propagandę „defraudanci mienia społecznego”, „wyzyskiwacze”, „próżniacy” czy „skorumpowani urzędnicy”. Czytelnik ów powinien był także rozpoznać i przyjąć ironiczny styl autora, by subtelnie odróżnić sugestię wypędzenia z państwa „Paidosa, który młodzieży sprzedawał rylce do pisania z wmontowanymi nadajnikami” od propozycji pozbycia się „Filokratososa, który skonstruował rydwan z głowicą nuklearną”. Strach przed wojną atomową był tylko oficjalny, a obawa przed ubekiem autentyczna, choć przecież nie powszechna, a przede wszystkim nie aż tak głęboka, by zagłuszyć satysfakcję płynącą z lektury literaturoznawczej paraboli.

Autor szkicu sugerował, że swoim wykładem na temat „relacji między poetyką (formami artystycznymi) a aksjologią” pragnie przemówić do zbyt „teoretycznego rozumu” strukturalistów. W istocie jednak wzmacniał niewidoczną więź ze świadomymi odbiorcami literatury, wychowanymi na romantykach i poetach Nowej Fali, którzy słusznie wierzyli, „że literatura jest oddziaływaniem, że przenika społeczne bariery w aktach lektury, domysłów i interpretacji”. Opatrzony wielokrotnym „jak wiadomo”, „wiemy o tym”, „przypominam tu sprawy powszechnie znane”, „wymieńmy więc jeszcze w pośpiechu”, ten bravurowy wykład charakteryzował się szczególnym typem perswazji

retorycznej, której postać wyraża następująca parafraza: „mówię wam to, czego się domyślicie i co jest oczywiste, ale tylko dla nas”. Idealnym odbiorcą szkicu *Ta pochodnia płonąca...* był więc, obok zmęczonego teorią strukturalisty, każdy, kto w solidarnej, a zarazem elitarnej łączności z innymi przyjmował za własne przesłanie autora. Swoją paraboliczną wypowiedź, poprzez usytuowanie jej w czytelnym polu aksjologicznym i zastosowanie chwytów retorycznych, które porządkowały relacje społeczne według jasnego schematu „my–oni”, Bolecki zamieniał po prostu w manifest polityczny. Słowo, zwłaszcza słowo poety, zostało w nim rozpoznane jako „ostatni bastion społecznych zachowań, które nie poddają się normatywnej kontroli”. Wiadomo, że nie był to pogląd przeznaczony do dyskusji czy ocen, ale jednoznaczne i odważne stanowisko, które można było odrzucić, biorąc stronę Platona, czyli reżimu lub przyjąć — wybierając poetów, czyli wolność. Nieporozumieniem byłoby sądzić, że pod koniec lat 70. stronę Platona reprezentowało wyłącznie Biuro Polityczne czy podlegająca mu cenzura. Także znaczna część społeczeństwa przeklinała poetów. Nie w imieniu wszystkich pisał więc Bolecki swój manifest. Kiedy jednak ukazał się on w 1980 roku, liczba czytelników idealnych *Tej pochodni płonącej...* — czytelników rozumiejących i solidarnych — z pewnością przekroczyła autorskie oczekiwania. Nie tylko literacki ideał sięgnął wówczas bruku. W kwestii zasadniczej niemal wszyscy byli wtedy jednomyślni ale, jak wiadomo, żyliśmy wtedy w czasach zupełnie wyjątkowych.

Rzecz jasna, nie chcę sugerować, że przesłanie parabolicznego manifestu było dyskusyjne, choć z pewnością łatwo sobie dziś wyobrazić zupełnie inną interpretację dzieła Platona (jak również dzieł twórców pomniejszych, do których nawiązywał autor). Przeciwnie, przesłanie całego tekstu było bezdyskusyjne i właśnie w dążeniu do bezdyskusyjności tkwi główny problem odbioru późniejszych szkiców Boleckiego. Owszem, autor nigdy nie wybiera najprostszej drogi dochodzenia do wyznaczonego celu, jednak cel ten od początku pozostaje dla niego oczywisty, a przeszkody, które umiejętnie piętrzy przed sobą, spełniają głównie funkcję perswazyjno-uwodzicielską, żeby nie powiedzieć hipnotyczną... W przypadku takich idei, jak wolność w państwie totalitarnym (czy takich problemów, jak wydanie własnej książki), formułowany zarzut nie jest może zbyt istotny. Skoro jednak Bolecki decyduje się mówić o prawdach niemyłych, musi liczyć się z niechęcią choćby części swoich czytelników.

3. Zdawałoby się, że autor cyklu książek i artykułów o Józefie Mackiewiczu zdążył się już przyzwyczaić do nieprzychylnych reakcji. A jednak do dziś z dobrą wolą stosuje szereg retorycznych zabezpieczeń i krytycznych uników, by, jak możemy się domyślać, „godzić antagonizmy i konflikty”, „zajmować stanowisko umiarkowane”, „nie wiązać się z żadną orientacją polityczną” (*Podnieść zginiony naród, niemala praca...*). Jednak w czasach, gdy wolność przestała być ideą jednoczącą ludzi o przeciwnych poglądach „szukanie mostów myślowych” (Jaki ładny nieboszczyk...) może czasami prowadzić do spłykania samej myśli. Widać to wyraźnie w esejju *Prawdy niemile*.

Już pierwsze zdanie zostało w nim tak skonstruowane, by wykluczyć wszelkie wątpliwości, jakie mogłyby zrodzić się w związku z przedstawianą tezą: „Trudno o zestawienie pisarzy bardziej od siebie różnych niż Witold Gombrowicz i Józef Mackiewicz” — stwierdza autorytatywnie Bolecki, dodając za chwilę także w imieniu rzekomo świetnie zorientowanych odbiorców: „wymienianie różnic między Gombrowiczem i Mackiewiczem jest zbędną stratą czasu”. Funkcja retoryczna części wstępnej tekstu jest jasna: im mocniej zaakcentujemy oczywiście dla wszystkich różnice, tym efekt objawienia przez autora wspólnoty poglądów obu pisarzy będzie silniejszy. Istotne jest tu także pewne założenie dodatkowe, ukryte początkowo między wierszami (np. tam, gdzie mówi się o głupstwach, jakie Mackiewicz napisał o Gombrowiczu). Otóż od początku wiadomo, że to Gombrowicz będzie punktem odniesienia dla poglądów Mackiewicza, a nie na odwrót. Zresztą po przedstawieniu pierwszych związków pomiędzy obu pisarzami, autor powie wprost: „Warto niekiedy czytać Mackiewicza poprzez Gombrowicza, choć lektura odwrotna jest po prostu niemożliwa”, z czym czytelnik idealny tekstu musi się zgodzić, ponieważ w gruncie rzeczy jest to miłośnik Gombrowicza, niechętnie odnoszący się do pisarstwa Mackiewicza.

Czytelnik ten bez namysłu „kupił” tezę o „absolutnych” różnicach pomiędzy obu pisarzami, a następnie z pewnym przyzwalającym zdziwieniem przyjął do wiadomości, że także Mackiewicz niezbyt cenil „polską mentalność” i w swoich pismach zaciekle „atakował stereotypy polskości”. Podejrzewam zresztą, że czytelnik idealny szkicu Boleckiego nie zna zbyt dokładnie twórczości Gombrowicza, który przecież w pierwszym tomie *Dziennika* sam nawiązuje do recenzji

Kontry Józefa Mackiewicza (autorstwa Michała K. Pawlikowskiego). Boleckiemu zależy więc na tym, aby ten nie do końca zorientowany miłośnik Gombrowicza przekonał się, że Mackiewicz w kwestii narodowych przywar myślał podobnie jak autor *Trans-Atlantyku*. Obserwujemy więc coś w rodzaju „oswajania” Mackiewicza Gombrowiczem, a mówiąc ściślej „oswajania” przeciwników Mackiewicza, których Bolecki subtelnie przekonuje, że swoją niechęć do autora *Kontry* opierali do tej pory na fałszywym stereotypie recepcji jego twórczości.

Ale na tym nie koniec. Bolecki „oswajając” Mackiewicza, wypowiada słowami Gombrowicza prawdy, których miłośnicy autora *Trans-Atlantyku* nie przyjęliby z ust autora *Lewą marsz*. Jest to prawda o kolaboracji polskich intelektualistów z „sowieckim okupantem”, wyprowadzona jednak nie z historii, ale z ogólnego założenia, które brzmi: „Polak to niewolnik myśli i zachowań kolektywnych, który w głębi duszy jest przekonany, że jest skrajnym indywidualistą”. Widzimy więc, jak autor za jednym zamachem przełamuje stereotypową recepcję Mackiewicza, znajduje autorytet nie do podważenia w kwestii sądu nad stalinowcami, a przy tym wszystkim – nie traci zaufania u swego czytelnika, któremu bliska jest krytyka polskiej mentalności, mimo iż nie wraca on zbyt chętnie do cytowanych przez Boleckiego fragmentów *Dziennika*.

4. Pozostają jednak pewne wątpliwości. Właściwie dlaczego do przyjęcia kilku niemiłych prawd o polskiej inteligencji potrzebne jest „oswajanie” Mackiewicza Gombrowiczem? A także – czy przedstawiona przez Boleckiego diagnoza mentalności Polaków nie jest przypadkiem reprodukcją gombrowiczowskiego stereotypu, do którego stworzenia przyczynili się m. in. pisarze PRL-u? Myślę o pośredniej recepcji Gombrowicza poprzez twórczość „młodego” Bocheńskiego i Mrożka, Dygata czy Kazimierza Brandysa. Wszyscy oni, w różny sposób, realizowali „zadaną” przez Gombrowicza lekcję „wyzwalania się z polskości”, jednak ich krytyka polskich wad narodowych była w dużej części ideologicznym zniekształceniem myśli autora *Trans-Atlantyku*. Po wojnie Gombrowicz został po prostu skutecznie zmanipulowany przez rozczarowanych adeptów marksizmu, którzy swoje zaangażowanie w stalinizm uzasadniali przekleństwem dziedzicznej mentalności zaślepionych, oszukanych przez historię i wiecznie niedorosłych spiskowców. Pisarze ci ulegali

pokusie bezpośredniego przenoszenia założeń gombrowiczowskiej antropologii w sferę historii, socjologii czy polityki, dokonując przy tym tendencyjnego przekładu kodu literackiego, jaki na własny użytek stworzył autor *Ferdydurke*. Wzorcową realizacją tego typu autoterapeutycznych zabiegów jest ostatnia część cyklu *Wariacji pocztowych* Kazimierza Brandysa.²

Otóż wydaje mi się, że również Bolecki wkracza na teren fałszywego przekładu, dopatrując się przyczyn powojennej kolaboracji części polskiej inteligencji w stadnej naturze zapatrzonych w siebie Polaków (mimo iż wielokrotnie zaznacza, że charakter rozważań Gombrowicza i Mackiewicza jest inny). Rozumiem, że prawda typu „Polacy są skupieni wyłącznie na sobie: chcą być bardziej Polakami niż ludźmi”, którą wysnuł Bolecki z pism Gombrowicza, nie należy do przyjemnych. Rozumiem także, że wykazanie tej prawdy w oparciu o myśl Mackiewicza (być może chytrze wycelowanej w uczniów Gombrowicza) okaże się pożyteczne dla recepcji twórczości autora *Kontry*. Powszechnie jednak wiadomo, że masowość ruchów stalinowskich brała się m.in. ze zniszczenia tradycyjnych więzi wspólnotowych. Szkoda więc, że Bolecki nie próbuje rewidować sądów o mentalnej niewoli braci Lachów, choćby poprzez mniej stereotypową lekturę *Dziennika*, którego wybrane fragmenty z powodzeniem mogłyby służyć do porównania też Gombrowicza dajmy na to z poglądami przedwojennych publicystów endeckich:

Polak z natury swojej jest Polakiem. Wobec czego, im bardziej Polak będzie sobą, tym bardziej będzie Polakiem. Jeśli Polska nie pozwala mu na swobodne myślenie i czucie, to znaczy, że Polska nie pozwala mu być w pełni sobą, czyli Polakiem...

Czyż z tego niby-sylogizmu nie udałoby się wyprowadzić np. takiego twierdzenia: „Naturą człowieka jest przynależność narodowa: człowiek jest bardziej częścią narodu niż ludzkości”. Nie chcę sugerować, że Bolecki stosuje podobne uproszczenia. Chcę jedynie zaznaczyć, że Wielki Gracz polskiej literatury — wtłoczony w socjologiczny czy ideologiczny schemat — okazuje się doskonale manipulowalny.

Właśnie dlatego autor *Trans-Atlantyku* świetnie nadawał się do mówienia PRL-owskich pół-prawd językiem przekornym a nowoczesnym. Nie nadawał się do tego Mackiewicz, bezwzględny krytyk komunizmu, opętany fobią jakiegokolwiek współpracy z narzuconą

² A. Horubała *Wariacje niewolników* „Debata” 1994 nr 2.

przez sowietów władzą, mimo iż także on chłodno odnosił się do idei narodowej. Po wojnie był pisarzem w Polsce zakazanym, na emigracji – oskarżonym o zdradę. Wielka praca, jaką w latach 80. wykonał Włodzimierz Bolecki przywracając pamięć o Mackiewiczu, nie polegała jednak na oczyszczaniu autora *Kontry* z zarzutu zdrady, choć to właśnie ten zarzut stawiano najczęściej, ale na udowadnianiu, że człowiek prezentujący bezkompromisową postawę wobec komunizmu nie musiał być jednocześnie faszystą czy nacjonalistą. Przypominanie stanowiska Mackiewicza zmuszało polskich intelektualistów, którym dużo wygodniej było nadal „mówić Gombrowiczem” o upadku kultury niż o krachu własnej formacji, do rewizji wyznawanych poglądów i oceny przeszłości. Dlatego nie przypadkiem za książki o Mackiewiczu atakowali Boleckiego w prasie podziemnej publiczności PRL-owscy. Charakterystyczne, że jeszcze niedawno „zoologicznym antykomunistą” nazwał autora *Lewą marsz* Adam Michnik.

Być może tego typu opinie skłoniły Boleckiego do ponownego zajęcia się Mackiewiczem. Wydaje mi się jednak, że w poszukiwaniu „mostów myślowych” autor w gruncie rzeczy unika prawd niemiłych. Na przykład w szkicu o „niemcewiczowskim patriotyzmie” (*Podnieść zginiony naród, niemala to praca...?*) bez żadnego wartościującego komentarza pozostawia następującą informację: „Po bitwie pod Lipskiem Niemcewicz napisał do Czartoryskiego: «Losy szczątków Polski są w rękach imperatora Rosji» (13 XI 1813). Z tą myślą wszedł niebawem w skład Komitetu Organizacyjnego przyszłego Królestwa Kongresowego”. Czy autor nie unieważnia tym samym problemu kolaboracji z „okupantem sowieckim” (a zarazem części własnej publicystyki z lat 80.)? Laurka w postaci szkicu o Julianie Ursyniu Niemcewiczu złożona wszystkim, którzy swoich korzeni szukają w pierwszym pokoleniu polskiej inteligencji (pokoleniu Niemcewicza, Staszica i Kollątaja) niewiele ma też wspólnego z Berentowskim wzorem historycznego dyskursu, do którego często odwołuje się autor. „Berent odróżniał przede wszystkim świat realnej historii (*bios*) od historii przedstawionej w literaturze (*logos*), czyli transfiguracji historii w mit” – pisze Bolecki w recenzji *Klasycyzmu* Ryszarda Przybylskiego.

Szkoda więc, że w poszukiwaniu recepty na „kolektywizm myślowy”, autor szkicu *Prawdy niemiłe* powraca do mitycznej już dziś „idei krajowej”. Doceniam rolę mitu w kształtowaniu świadomości zbiorowej, zwłaszcza mitu opowiedzianego tak pięknie, jak czyni to Bolecki,

przypominając opowiadanie Mackiewicza *Foux-pas ciotki Pafci*. Jednak, po doświadczeniu radzieckim i jugosłowiańskim uporeczywie powracanie do wizji szczęśliwie bytujących obok siebie narodów zrzeszonych w luźnej federacji jest po prostu ucieczką od problemu współczesnych nacjonalizmów.

Wydaje mi się także, że odkurzanie dawnych wzorów pozytywnych, w tym wypadku wzoru stosunków społecznych z czasów Wielkiego Księstwa (które co prawda przetrwały do XIX wieku), ma sens o tyle, o ile uda nam się przekształcić je we współczesną strategię życia jednostkowego czy zbiorowego. Witold Gombrowicz odwołując się do wzoru „idealnego szlachcica” kształtował nowoczesną postawę dwudziestowiecznego intelektualisty, „znużonego bałwochwalstwem nauki i niewolnictwem pożytku”.³ Włodzimierz Bolecki nie daje odpowiedzi na pytanie, jak realnie spożytkować „ideę krajową”. Jego czytelnik idealny wcale się zresztą o to nie upomina... Autor formułuje za to ostateczną puentę szkicu, głoszącą, że — „monoetniczny system narzucony Polsce po II wojnie światowej (...) przyniósł w konsekwencji nie tylko deformację mentalności zbiorowej, ale i pojedynczych ludzi”, którą odbieram jako prawdę nieco już dziś zbanalizowaną. O wiele bardziej przykry jest przecież fakt, że ciągle pragniemy reformować indywidualną i zbiorową mentalność bez uwzględniania realnych warunków społecznych, w jakich od dawna żyjemy.

Pięknych historii słucha się jednak z przyjemnością. Zahipnotyzowany czytelnik idealny szkicu Boleckiego kontentuje się grupową mitologią. Czytelnik konkretny na nowo studiuje Gombrowicza, by uczyć się od niego metody nieufnego myślenia i konsekwencji w głoszeniu prawd naprawdę niepopularnych.

Jacek Kopciński

Porachunki Tomasza Łubieńskiego

*Porachunki sumienia*¹ nie dają satysfakcji. To raczej popis retoryki niż opis naszej wyjątkowej sytuacji. Styl wydaje się autorowi ważniejszy od przedmiotu złośliwych polemik.

³ J. Błoński *Gombrowicz a etos szlachecki*, w: *Forma, śmiech i rzeczy ostateczne*, Kraków 1994.

¹ T. Łubieński *Porachunki sumienia*, Warszawa 1994, Biblioteka „Więzi”.